Należytość pocztową zapłacono ryczałtem.
Rok VII. Lwów, czerwiec 1930. Nr. 6.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Matka.

Twój ojciec to twoja duma, honor, sława i obrona. Ale matka?

Matka nie ma czasu wyjść z domu, bo ty tam jesteś z rodzeństwem. Trzeba was karmić, pilnować, ubierać, trzeba przygotować, sporządzić to wszystko, czego codziennie potrzebujesz, a co ci się wydaje tak łatwe do zdobycia i do sporządzenia, jak powietrze, którem oddychasz. Wydaje się to łatwem, bo matka nigdy nie wypomina, że podaje ci te wszystkie rzeczy z wdzięczną radością.

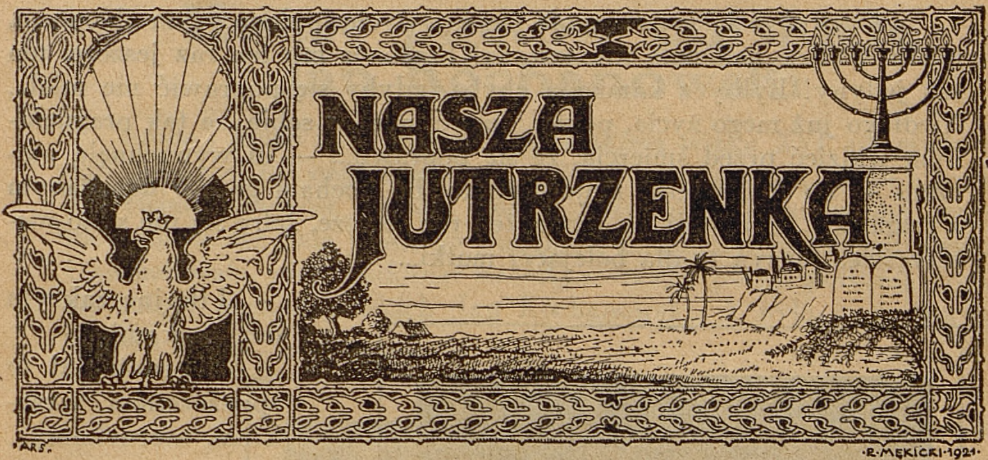
Matka nie ma czasu wyjść z domu i żadnej drogi własnej nie ma, gdyż ty z rodzeństwem stoisz na wszystkich jej drogach, a ona ci ze wszystkich wszystko swoje oddaje. Własny talent, zabawy, nauki zaniedbuje, abyś ty miał każdej chwili, ile ci tylko trzeba.

Ojciec — to honor, siła i obrona. Gdy się człowiekiem staniesz, oddać mu będziesz mógł siłą, honorem i obroną.

Ale matce nigdy nie oddasz, już nazawsze dłużny. Bo nie masz tyle serca dla niej, ileś z niej wziął — jak młody dąb nie odda soków z dobrej ziemi wziętych, a które krążą teraz w jego bujnej koronie.

Juljusz Kaden Bandrowski.

Rok VII. Lwów, czerwiec 1930. Nr. 6.



PISMO DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Matka wypędzonego.

Niepoprawny ten Vatini! Wczoraj na lekcji religji, w obecności dyrektora, pyta nauczyciel Derossiego, czy umie na pamięć te dwie zwrotki z naszej książki z wierszami, które się tak zaczynają:

Gdzie tylko zwrócę spojrzenie,
Wszechmoc Twą widzę o Boże....

Derossi odpowiedział, że nie umie, a Vatini natychmiast: — Ja umiem! — I uśmiechnął się złośliwie, rad, że Derossiemu choć raz przystawi stołka.

Ale mu się nie udało, i wiersza nie wypowiedział, bo nagle weszła do klasy matka Franti'ego, wzburzona z rozwichrzonemi siwemi włosami, cała osypana śniegiem, popychając przed sobą syna, który był wydalony ze szkoły na cały tydzień. Był to przejmujący widok. Biedna kobieta upadła prawie na kolana przed dyrektorem, składając ręce błagalnie.

— O, panie dyrektorze, uczyń mi tę łaskę, zmiłuj się, weź chłopca napowrót do szkoły! Już od trzech dni jest w domu, ukrywałam go dotąd jak mogłam. Ale niechby się, Boże zachowaj, ojciec miał dowiedzieć o wszystkiem, zabiłby go chyba. Miej litość, panie, bo już sama nie wiem, co mam robić. Życie moje w ręku twojem, panie!...

Dyrektor usiłował wyprowadzić biedną matkę z klasy, ale nie chciała wstać, gorżko płacząc i prosząc za synem.

— O gdybyś wiedział, panie, ile już wycierpiałam z tym chłopcem, miałbyś litość nademną nieszczęsną! Przebacz mu ten raz jeszcze, ten raz jedyny! Byłby z kamienia chyba, gdyby się poprawić nie miał... Niedługo już mego życia, panie, Śmierć mam w sobie... a tak pragnęłabym widzieć przed śmiercią, że się poprawił... — tu wybuchnęła płaczem — bo to przecież moje dziecko, bo kocham go, bo umarłabym z rozpaczy... Przyjmij go, panie, ten raz jeszcze, żeby się nie stało nieszczęście... uczyń to dla bolejącej matki...



Dziecko szczęśliwe w objęciach matki.

I łkając zakryła oczy rękami.

A Franti stał ze spuszczonem wzrokiem, nieruchomy.

Spojrzał na niego dyrektor, postał chwilę, jakby się namyślał, a potem rzekł:

— Franti, idź na swoje miejsce.

Wtedy kobieta odjęła ręce od twarzy, pocieszona i zaczęła dziękować, nie pozwalając dyrektorowi przyjść do słowa, a zwróciwszy się ku wyjściu, mówiła jedno przez drugie ocierając oczy.

— Synu, pamiętaj dziecko! Przebaczcie mu wszyscy! Jeszcze raz dzięki, panie dyrektorze, żeś się zmiłował nad nim... Sprawuj się dobrze synu! Bądźcie zdrowi chłopcy! Dziękuję! Do widzenia, panie nauczycielu! Darujcie biednej matce!...

I spojrzawszy jeszcze raz błagalnie na syna od progu, wyszła, zbierając w ręku szal, który z niej opadł, blada, pochylona, z trzęsącą się głową, a gdy schodziła ze schodów, słyszeliśmy jej głuchy, ciężki kaszel.

Edmund de Amicis.

Książę poetów polskich, Jan Kochanowski

Szaro i pusto było jeszcze z początkiem wieku XVI. na niwie poezji polskiej. Już oręż daleko się wsławił za granicami kraju i poznać dał światu wielkość narodu. Poezja prawdziwa i natchniona jeszcze nie istniała. Aż dnia pewnego wzbiła się jaskółka wysoko pod niebiosa i zwiastowała wieść radosną: nadciąga wiosna poezji polskiej. zrodził się książę poetów polskich Jan Kochanowski. A było to w Sycynie w roku 1530.



Jan Kochanowski książę poetów polskich.

Rodzice dali Janowi wychowanie najlepsze. Po kilkuletnich studjach w Akademji Jagiellońskiej, wyjechał na nauki zagranicę. Zwiedził Niemcy, potem Włochy oraz Francję. Z tego czasu pobytu poety zagranicą pochodzą jego wiersze łacińskie, zwane elegjami, oraz znana, prześliczna pieśń polska, zaczynająca się od słów:

„Czego chcesz od nas Panie za Twe hojne dary?“

Na wieść o śmierci matki wrócił Kochanowski do Polski. W spadku otrzymał połowę Czarnolasu. Przez 7 lat był potem na dworze króla Zygmunta Augusta, jako jego sekretarz. W końcu zniechęcony do ży-

cia dworskiego, wrócił do Czarnolasu. Ożenił się z Dorotą Podlodowską i osiadł tam na stałe.

Z czasu pobytu Kochanowskiego w Czarnolesie pochodzą jego najpiękniejsze utwory: „Psałterz", „Odprawa posłów greckich" oraz „Treny". „Psałterz" to tłumaczenie wszystkich psalmów Dawida. Utwór ten wywarł wielkie wrażenie. Dorabiano też później do psalmów muzykę.

„Odprawę posłów greckich" napisał Kochanowski na prośbę Jana Zamojskiego. Możni panowie w Europie uświetniali wówczas wielkie uroczystości, szczególniej zaślubiny, odegraniem utworu scenicznego. Zamojski pragnął to pierwszy uczynić w Polsce, by uświetnić swe zaślubiny z Krystyną Radziwiłłówną. Wykształcony Kochanowski znał literaturę klasyczną, to jest dzieła starożytnych Greków i Rzymian. Na wzór utworów scenicznych greckich, zwanych dramatami, napisał „Odprawę posłów greckich". Te dramaty klasyczne były już wówczas naśladowane w innych krajach Europy, ale Kochanowski był pierwszym, który naśladował taki dramat w języku polskim. Ci, którzy naśladowali dramaty klasyczne a także i inne utwory klasyczne, oraz zajmowali się ich studjowaniem, nazywali się humanistami; dramaty pisane przez humanistów na wzór dramatów greckich, nazywają się dramatami humanistycznemi. Kochanowski więc był tym, który pierwszy do Polski wprowadził dramat humanistyczny. I to jest jego wielką zasługą.

Nie jedyną. Miał nadzieję poeta, że dożyje starości zdala od trosk i cierpień, ukojonych troskliwą ręką kochającej go żony i szeptem rozłożystej lipy, rosnącej na jego dziedzińcu. Ale „grom przyszedł uderzyć". Bóg dał poecie słodkie dziewczątko, dał mu słodkiego słowiczka, Urszulkę, ale ją rychło odebrał. Ledwie ujrzało światło słoneczne to cudowne dziecko, a już je w trzydziestym miesiącu życia porwała śmierć bezlitosna. I legł nieszczęsny ojciec obok trumienki Urszulki. Bez słowa. Bez skarg. Ból i rozpacz nie dały się wypowiedzieć. Poeta skamieniał pod wpływem cierpień.

A gdy siła pierwszego ciosu nieco osłabła, łzy spłynęły po licu złamanego ojca. Czuł potrzebę wyśpiewania swego bólu. Wziął tedy Kochanowski pióro i we łzach swych je umoczywszy, pisać niem począł. Nikt przed Kochanowskim tak prawdziwie i szczerze nie wyśpiewał bólu złamanego ojca, jak poeta w trenach. Jest tych trenów, tj. pieśni żałosnych 19. Śliczną i uroczą jest w nich Urszulka. Poeta widzi w niej spadkobierczynię lutni. Wspomina, że sama wierszyki układała i śpiewała przez cały dzionek, a co najstraszniejsze nawet w godzinę śmierci. Posiadała wszystkie zalety: była czystą, posłuszną, układną, skromną i pobożną.

Chmura smutku osiadła po stracie córki na czole poety i nigdy się już więcej Kochanowski nie zaśmiał. Napisał „Treny“ dla pocieszenia siebie samego i dla zapewnienia Urszuli nieśmiertelności. Zapewnił ją także i sobie. Kochanowski umarł w r. 1584.

Znaczenie Kochanowskiego dla poezji polskiej jest ogromne. Kochanowski stworzył polski język poetycki. Przed nim istniały tylko wiersze, była tylko rymowana proza. Poezja Jana z Czarnolasu jest tworem natchnionego poety.

Język jest rzeczą żywą. Żyje i rozwija się. Pewne wyrazy w nim giną, nowe powstają, a z czasem zmienia się do tego stopnia, że utwór napisany w wieku X, jest już w XX. wieku niezrozumiały. Do rozwoju przyczynia się cały naród. Ale naród rozwija tylko język potoczny, ten język, którym mówimy codziennie. Wiemy jednak, że język którym mówimy, różni się bardzo od tego, którym piszemy, a już całkiem odmienny jest od języka poetyckiego. Język poety jest bardziej uroczysty, poważny, używa innych wyrazów niż język codzienny. Taki język poetycki nie jest tworem całego narodu, ale dziełem poszczególnie utalentowanych ludzi. Do takich należał Jan Kochanowski. On stworzył polski język poetycki, stworzył prawdziwą poezję.

Ale nie tylko na polu poezji zasłużył się poeta. Bogaty w doświadczenie, hojną dłonią dzielił się niem ze swym narodem w „Pieśniach“. Są one patrjotyczne, bądź pouczające i zawierają bardzo piękne myśli, czasem pożyczone od poetów klasycznych, często własne.

Cel życia wypowiada Kochanowski w słowach:

„Służmy uczciwej sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra wspólnego pomoże“.

W swej poezji polskiej, która wyrosła na niwie ojczystej, wzywał Kochanowski naród do jedności, do poprawy i piętnował odstępstwa od obyczaju narodowego. Czynił to nietylko w „Pieśniach“ lecz i we „Fraszkach“ t. j. drobnych utworach, często wesołych, których wiele zostawił zarówno w języku łacińskim, jak polskim.

Zasługą Kochanowskiego jest to, że poezję polską podniósł do wysokości, na jakiej poezja stała zagranicą. Przyswoił jej takie utwory, które pisano wówczas w całej Europie, pozostawił dzieła znakomite, o trwałej wartości. Kochanowski nie pozwolił nato, by język ojczysty pozostał „Kopciuszkiem“. Zrezygnował z oklasków Europy i dla swego narodu tworzył w jego własnym języku. I to jest jego największą zasługą. Kochanowski jest pierwszym prawdziwym poetą polskim. Stanął odrazu na wielkiej wyżynie i stamtąd przewodził innym, późniejszym — do Adama Mickiewicza.

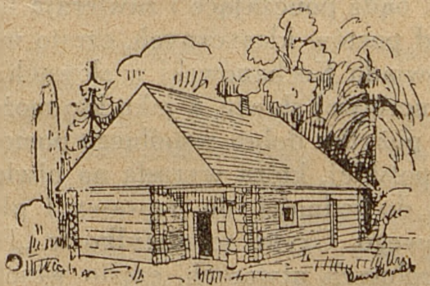
Z fraszek Kochanowskiego

Do zdrowia.

Szlachetne zdrowie!
Nikt się nie dowie,
Jako smakujesz,
Aż się zepsujesz.
Tam człowiek prawie
Widzi na jawie
I sam to powie,
Że nic nad zdrowie
Ani lepszego,
Ani droższego;

Bo dobre mienie,
Perły, kamienie,
Także wiek młody,
I dar urody,
Miejsca wysokie
Władze szerokie
Dobre są, ale
Gdy zdrowie w cale;
Gdzie nie masz siły,
I świat nie miły.

Klejnocie drogi,
Mój dom ubogi,
Oddamy tobie
Ulubuj sobie!



SZEM—TOB.

Zarządca dóbr pańskich.
(Jalkuth Ruth).

W Erec Izrael żył niegdyś zamożny obywatel, imieniem Zacharjasz. Oddziedziczył po rodzicach ładny majątek, który jeszcze pomnożył swoją gorliwą pracą. Zacharjasz był także cnotliwym i dobroczynnym człowiekiem. Z biegiem czasu zmienił się jego los na niekorzyść; ubożał coraz bardziej i niebawem stracił cały majątek. Dla utrzymania

żony i dzieci musiał szukać roboty jako najemnik. Pracował więc w pocie czoła jak zwyczajny robotnik, orał, rąbał drzewo, tłukł kamienie na szosie, dźwigał ciężary i t. p. Nie gardził żadnym uczciwym zarobkiem, byle tylko wyżywić swą kochaną rodzinę. Nie narzekał nigdy na los, owszem zawsze był zadowolony.

Pewnego razu orał Zacharjasz na polu sąsiada. Dzień był skwarny, słońce prażyło jakby rozżarzona kula, pot kroplisty oblewał oracza, który i natężał ostatki sił, by nie upaść ze znużenia. Nastała bowiem wiosna, należało coś sprawić dzieciom na tę porę roku, a tu zarobki były liche, potrzeby wielkie, a zdrowie nie dopisywało.

Nagle szarpnął go ktoś za ramię; oglądnął się i spostrzegł obcego człowieka przed sobą; z wyglądu sądzić, był to jakiś Aramejczyk. Obcy pozdrowił go uprzejmie „Szalom“! i odezwał się doń w te słowa:

— Przyjacielu, w księdze przeznaczeń jest ci napisane siedm lat bogactwa i szczęścia! A kiedy siedm lat powodzenia dla ciebie mają się rozpocząć, zależne jest tylko od twej woli. Jeśli sobie życzysz tego, rozpoczną się bezzwłocznie. Dziś jeszcze możesz stać się najbogatszym obywatelem i opływać w dobrobycie. Pamiętaj jednak, że to twoje szczęście nie potrwa dłużej jak tylko 7 lat. Po upływie tego terminu staniesz się znów ostatnim nędzarzem i takim już będziesz do końca swego życia.

Ale masz wybór, jeśli chcesz, nadejdzie tych 7 lat dobrobytu u schyłku twego życia, a wtedy dokończysz swego żywota, syt dóbr za życia. Wybierz więc, kiedy ma zabłysnąć tobie szczęśliwa gwiazda, teraz — czy później. (Rzekomy ten Aramejczyk był w istocie prorokiem Eljaszem. — Eljahu hanabi, który przybył zwiastować dobrą nowinę zacnemu robotnikowi).

Ale Zacharjasz myślał, że to jakiś czarownik lub jarmarczny wykpigrosz, przeto nie zważał na jego przepowiednię i odparł:

— Zostaw mnie w spokoju, — jeśliś czarownikiem, to nam Żydom nie wolno wierzyć w takie bzdurstwa, a jeśliś sztukmistrzem lub kuglarzem, to u mnie nic nie zarobisz, sam jestem biedakiem, chociaż trud mój jest ciężki. Mówiąc to, kontynuował dalej swą robotę. Obcy niebawem wrócił z tą samą propozycją i znów Zacharjasz dał mu tę samą odpowiedź. Aramejczyk jednak uporczywie powtarzał swą przepowiednię, aż biedakowi się sprzykrzyło. Popatrzył więc uważnie na obcego i z jego szlachetnych rysów poznał, że jest mu życzliwym, odrzekł tedy w końcu:

— „Dobrze, dziękuję za twe dobre chęci, ale pozwól, bym się wprzód poradził ze swą żoną. Bez jej wiedzy niczego nie czynię. Usłyszę jej zdanie i zaraz powrócę tutaj i powiem ci, co postanowiliśmy.

Obcemu podobały się słowa oracza, pochwalił go, że radzi się w ważnych sprawach swej małżonki. Usiadł na murawie i czekał cierpliwie powrotu Zacharjasza.

Ten pobiegł do domu. Mieszkał niedaleko za miastem, w zapadłej chatce. Przed chatką bawiło się kilkoro drobnych i obdartych dzieci. Skoro zobaczyły ukochanego ojca, wybiegły z radością naprzeciw niego. Opowiedział swej żonie następnie całą rzecz i radził się jej, jaką dać odpowiedź przybyszowi obcemu i na kiedy wybrać dostatek.

— Natychmiast, — zawołała żona. Co się ma stać, niech się stanie bezwłocznie! — A co potem zrobimy, gdy przeminą lata dobrobytu i rozpoczną się znowu dni głodu i biedy, — nieśmiało zapytał mąż.

— Co potem będzie, to nie nasza rzecz. Przyjm zaraz co zsyła Bóg. Teraz są dzieci nasze młode. będziemy mogli im dać staranne wychowanie. Za siedm lat wyrosną, będą coś umiały i dadzą sobie radę w życiu. Zacharjasz zrozumiał żonę, pośpieszył do obcego i oświadczył mu swoje postanowienie.

Śmiem wątpić, czyście mądrze urządzili, — rzekł nato Aramejczyk. Błogich siedm lat prędko przeminie. Będziesz potem starszym, nawykniesz do dobrobytu i nie zdołasz już pracować na kawałek chleba.

— Nie mogę zmienić postanowienia swojej żony, gdyż ona mi zawsze dobrze radziła w życiu. Ona jest zdania, że należy Bogu dziękować za jego codzienne dobrodziejstwo. Zresztą idzie o dobro naszych dziatek; niech mają radosną i jasną młodość. Jak będą należycie przygotowane do życia, to sobie później poradzą.

— Zgoda, jeśli takie jest wasze postanowienie, niech się stanie wedle waszej woli. Zostaw robotę, pójdź do domu. Już się ukazała twa gwiazda. Zacharjasz chciał obcego zaprosić do siebie, lecz już go nie było. Jak zjawił się znienacka, tak znikł nagle.

Właśnie w tej samej chwili znalazły dzieci Zacharjasza, grzebiąc w piasku. klejnot o bezcennej wartości. Wtem nadszedł ojciec, którego zawiadomili o szczęśliwym wypadku.

Rozpoczęło się dla Zacharjasza siedm lat obfitości. Szczęście jego nie miało granic, we wszystkiem sprzyjało mu powodzenie.

Mądra jego żona, widząc, że opływają w złoto i bogactwa, a wiedząc, że udzielono im tych dóbr na ograniczony czas, postanowiła, aby te dary boże nie poszły na marne. Starała się, by tak sami, jak też i bliźni mieli trwały pożytek z tego błogosławieństwa Pańskiego. Nie zmienili trybu życia, aby się nie przyzwyczaić do wygód, aby ich serce nie napełniło się pychą.

Dzieciom dawali najstaranniejsze wychowanie, powierzając je opiece wytrawnych wychowawców. Starali się swój niezmierny mają-

tek zużytkować na cele szlachetne i pożyteczne dla ogółu. Szczególnie jego zacna żona opiekowała się sierotami, wdowami i pomagała w niedoli bliźnim. Żaden dzień nie przeszedł, w którym nie wykonałaby dobrych uczynków. Uważała, że ten ich majątek cudem uzyskany nie jest ich własnością. Opatrzność poruczyła tylko im zarząd tych dóbr. Mądra kobieta prowadziła przytem księgi, gdzie rzetelnie zapisywała wszystkie obroty i codzienne wydatki. Aby móc po upływie umówionego czasu zdać dokładnie sprawę, jak zarządzali powierzonym im majątkiem, że nie zmarnowali grosza z darów bożych.

Czas szybko mija. Dopełniały się błogie dnie. Pewnego dnia zjawił się znowu obcy pan i powiadomił Zacharjasza, że zbliża się kres jego szczęścia. Przystąpił do niego, podał mu rękę na szalom i rzekł:

— Miły przyjacielu, przeminął już dobry czas, jesteś pewnie syt szczęścia, oddaj mi moje powierzone ci skarby.

— Owszem, dobrze żeś przyszedł, chętnie spełnię powinność, odrzekł wzbogacony Zacharjasz. Ponieważ ongiś za radą mojej dobrej żony przyjąłem twój skarb, tak i teraz nie mogę ci go oddać bez jej wiedzy. Szczególnie, że ona prowadzi nasze księgi i jest zarządczynią tych skarbów. Proszę cię przeto udać się do mego domowstwa. Udali się razem do Zacharjasza. Mieszkał ciągle za miastem, w dawnej swojej skromnej chatce. Zastali tam mnóstwo gości. Były to sieroty, wdowy i biedacy, którymi się opiekowała szlachetna niewiasta. Każdego gościła, obdarzyła sowicie i w dodatku użyczyła dobrej rady i miłego słowa.

Zacharjasz powiadomił żonę w jakim celu przybył do nich obcy gość. Żona go z radością przywitała, zaprosiła do stołu i przyjęła gościnnie. Potem utworzyła mu księgę i złożyła dokładny rachunek ze wszystkich czynności. Wykazała mu rzetelnie, na jakie cele obróciła powierzone im bogactwa.

Pamiętaliśmy zawsze o tem, powiedziała gościowi, żeśmy nie właścicielami majątku i że musimy go niebawem zwrócić prawdziwemu gospodarzowi. Wiedzieliśmy, że powołano nas na zarządców tych dóbr i staraliśmy się sprawować nasz urząd wedle sił jak najlepiej. A obecnie, skoro uważa, że znajdzie lepszych od nas zarządców dla swych dóbr, chętnie zwrócimy je bezwłocznie.

Gość, a był nim prorok Eljasz, stannie przeglądnął wszystkie zapiski, skontrolował wszystkie księgi — znalazł wszystko w należytym porządku. Ponieważ przyszedł do przekonania, że nie znajdzie chyba lepszych zarządców, nie miał ochoty odebrać tym poczciwcom powierzonych skarbów. Zacharjasz i jego żona sprawowali nadal sumiennie ten zaszczytny urząd. Byli zarządcami dóbr pańskich i żyli szczęśliwie dla dobra i szczęścia bliźnich jeszcze przez długie lata.

KAROL KLEIN.

Wakacje.

No, nareszcie są wakacje,
Tuż za drzwiami nas czekają!
Trzeba tylko drzwi odchylić:
Wpadną tutaj całą zgrają.

Chwycą nas za ręce, włosy,
Wyprowadzą z domu, szkoły,
Wielki wicher nas opłynie,
Porozwiewa ubrań poły.

Zachłyśniemy się od pędu,
Na godzinę mil — ze trzysta!
Niemożliwe? — My tak chcemy!
Dla nas rzecz to oczywista!

Nie pomogą żadne deszcze —
Nasze usta i ócz dwoje,
Gdy zapragną czystych głębin —
W mig wypiją wszystkie zdroje!

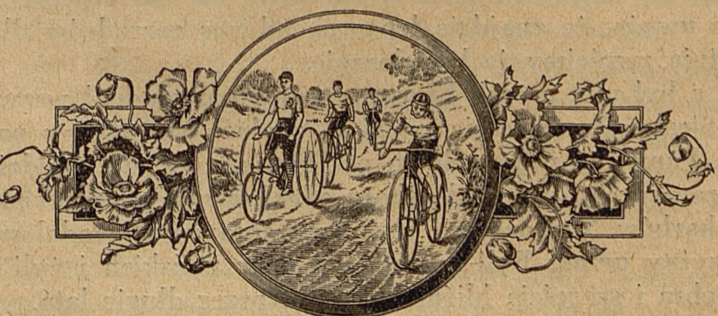
Smaczne słońce chcemy połknąć,
Aby mieć rumiane twarze!
Niemożliwe? Zobaczymy,
Po wakacjach się pokaże!

Słodkie mleko, kwaśne mleko
Dawać na stół! Co do licha!
My tak chcemy! My — najmłodsi!
Nas rozsadza życia pycha!

Jak wichura powrócimy
Po wakacjach w szkolne mury!
Gdy trząśniemy ręką w ławkę —
To polecą chyba wióry!

Kiedy oczy otworzymy
Tak szeroko przed tablicą,
To się wszystkie czarne kąty
Światłem naszych ócz nasycą!

Od rumianych naszych twarzy
Ciepły blask zapłonie wszędzie;
Zróżowicją nasze ściany —
Słońce w szkole wschodzić będzie!



Abramko.

Noc rozsnuła upiorne swe cienie po ciasnej, biednej izdebce. Niepewne światełko lampki naftowej, zawieszonej nad stołem, pada na pochyloną postać Abramka. Abramko pisze. Na karcie leżącej przed nim widnieje tytuł: „Taniec nędzy“. Od czasu do czasu silniejsze blaski oświetlają skupioną twarz Abramka i wówczas widać malujący się na niej wysiłek. Strofy się mnożą. Z pod pióra płyną rytmem jednostajnym, a on, Abramko, nuci z cicha, odczytując je zwolna. Utwór gotów. Abramko kreślić poczyna nuty. Zrazu zwolna, potem coraz szybciej, wybijając takt lewą ręką, prawą uwiecznia dźwięki na linjach. Praca się kończy. Zmęczony Abramko poraz ostatni rzuca okiem na utwór, uśmiecha się do niego i pogrąża się w rozmyślaniach. I tylko ze zmiany rysów jego oblicza wnioskować można o tem, co się dzieje w jego duszyczce, bo oczy jego, jużto uśmiechają się słodko, jużto wpadają w melancholijną zadumę a od czasu do czasu staczają się po policzkach jego wielkie, perliste łzy.

W kącie izby siedzi matka, wykonując mechanicznie swą pracę: robi pończochę. Z uśmiechem zadowolenia przygląda się pracy swego jedynaka. Spostrzega w końcu jego zadumę i łzy. A wówczas jej delikatny i cichy głos rozlega się po izbie:

— Abramko!

— Abramko! — woła powtórnie, gdy ten pogrążony w myślach nie odpowiada. Późna już godzina, czas iść na spoczynek. Trzeba wstać wcześnie, trzeba pójść do szkoły.

— Nie mamo! — odpowiada Abramko. Jutro dzień wolny od nauki, bo obchodzimy imieniny naszego dyrektora. Rano złoży się panu dyrektorowi życzenia, a wieczorem odbędzie się dla publiczności przedstawienie. Ale..., ale..., ja nie będę na przedstawie...niu...

Łzy tamują mowę biednemu dziecku. Matka nie odpowiada — widocznie słowa nie mogą przejść jej przez gardło. Abramko przegląda jeszcze swój utwór dokładnie i udaje się na spoczynek.

* * *

Lecz nie usnął natychmiast. Rozmyślał. Cała przeszłość przesunęła się przed jego oczyma. Oto zapada sobota i ojciec prowadzi go do bożnicy. Tam wielu już czeka zebranych słuchaczy, którzy pragną usłyszeć śpiewu Majera — chazena. Reb Majer bowiem wyjechał na sobotę do miasteczka i odprawia modły wraz z synkiem, zwanym Abramkiem, którego sława rozeszła się już szeroko wśród miłośników śpiewu. Już po modlitwie. Wszyscy ubiegają się o to, aby przyjąć u siebie tak dostoj-

nego gościa. Staje na tem, że zostają zaproszeni do rabina. A tam przy blasku sobotnika, odświętnie odziany rabin w otoczeniu małżonki swej i dzieci, odprawia wedle wszelkich przykazań sobotnią ucztę, przy śpiewie, winie i wykwintnych żydowskich potrawach. To samo powtarza się nazajutrz. Cieszą się więc sławą i dobrobytem, a rodzice korzystając z niego, utrzymują najlepszych nauczycieli, jacy mieszkają w mieście, do szkoły bowiem Abramko nie chodzi. Na wspomnienie tych chwil rozjaśnia się twarz Abramka.

Lecz nagle ukazuje się obraz inny. Ojciec chory, konający daje mu ostatnie błogosławieństwo. Umiera. Bierze ze sobą do grobu wszystkie nadzieje Abramka. Abramko zostaje sierotą w dwunastym roku życia. Nędza zajrzała do mieszkania wdowy, tem straszniejsza, że przyszła niespodzianie i po dobrobycie.

Następuje wyjazd do wielkiego miasta. Dzięki wybitnej znajomości śpiewu i nut, nabytej u najlepszych nauczycieli, dostaje zajęcie u miejscowego chazena i z małej zapłaty utrzymuje siebie i matkę. Ta bowiem ze zmartwienia podupadła na siłach i w niczem pomóc nie mogła swemu dziecku.

A później za radą przyjaciół wpisała go matka do szkoły. Przyjęty do najwyższego oddziału, czyni postępy doskonałe.

Oto inny obraz: Do szkoły przyniósł ze sobą chęć pracy i głębię uczucia. Ale jako nowicjusz spotkał się z nieufnością, ba, nawet z wyzwiskami. Pierwszego zaraz dnia któryś z chłopców podstawił mu nogę. Abramko upadł i krew polała się z jego ust. Ze łzami w oczach wstał wówczas, jakby pytając: za co? cóż ci złego zrobiłem? Nagle wszedł dyrektor. Zobaczywszy ociekającego krwią Abramka zapytał: „Kto cię trącił?“ Ale Abramko miał serce i umiał przebaczać.

— Upadłem — odpowiedział — potknąłem się o stopień i skaleczyłem się....

Dyrektor wyszedł. W klasie nastała cisza. Zawstydzeni chłopcy nie mogli wymówić słowa. Spuścili głowy i jeden po drugim wysunęli się z klasy. Został jeden. Był to ten, który Abramka trącił. Pełen pokory zbliżył się do Abramka. Ale ten wyciągnął do niego rękę.

— Nie gniewam się na ciebie — rzekł, bądźmy przyjaciółmi.

Henek — tak zwał się ów chłopak — stanął jak wryty. Przez chwilę nie śmiał przyjąć podanej sobie ręki, wreszcie uścisnęli się serdecznie.

I zostali przyjaciółmi. Abramko kupił jego duszę. Czego nikt nie mógł dokonać, by skłonić Henia do dobra, tego dokonało serce Abramka.

I na wspomnienie tego uścisku, Abramko uśmiechnął się słodko i usnął.

* * *

Nazajutrz, w dniu imienin dyrektora, miało się odbyć wieczorne przedstawienie. Wybrano z pośród młodzieży najlepszych aktorów i ci odegrać mieli sztuczkę okolicznościową. Po przedstawieniu chór, złożony z najlepszych śpiewaków, odśpiewać miał szereg pieśni pod wytrawnem kierownictwem profesora śpiewu Bauera. Tenże Bauer koncertować przyrzekł na skrzypcach osobno i ten właśnie punkt programu uważano za najpiękniejszy.

Przygotowania odbywały się długo. Abramka pominięto. Krył się on zawsze ze swym talentem i w szkole nie wiedziano wcale, że jest autorem kompozycyj muzycznych i układa wiersze. Ale w próbach chóru z ciekawości brał Abramko udział, przysłuchując się im pilnie. Zwrócił na to uwagę stary Wolf, który akompanjując solistom, widział często, jak zasłuchany w grę Abramko podnosił ręce i dyrygował bezwiednie. Poprosił go do siebie i rozpoczął z nim rozmowę sam na sam, kiedy się wszyscy rozeszli. Na prośbę jednak Abramka, przyrzekł zachować wszystko w tajemnicy. I odtąd po próbach zostawał Abramko ze starym Wolfem; Abramko śpiewał, a Wolf grał z nut kompozycje jego do akompanjamentu. Prosił też Abramka by zaśpiewał kilka swych piosenek na przedstawieniu, ale Abramko odmówił — wstydził się. Odmówił też, gdy Wolf, w przeddzień przedstawienia ponowił swą prośbę. Związany danem przyrzeczeniem Wolf musiał milczeć. Po próbie generalnej, gdy Abramko wrócił do domu, dręczyła go myśl o tem, że nie będzie mógł być na przedstawieniu z powodu braku jakiejkolwiek możności zakupienia biletu i żal, jaki w nim wezbrał, wycisnął z oczu jego gorące łzy. A potem chwycił za pióro i wyśpiewał ów „Taniec nędzy", w którym odmalował całą swą rozpacz i swe zbolałe serce.

W dniu przedstawienia, podczas składania życzeń imieninowych gruchnęła wieść, że z powodu zachorowania dyrygenta i koncertanta Bauera, ograniczy się wieczór jedynie do przedstawienia. Chóru ani koncertu nie będzie. A gdy Abramko wrócił do domu, w jakiś czas potem przybiegł zadyszany Henek.

— Abramko! — wykrztusił, nie mogąc tchu złapać — Abramko! Stary Wolf powiedział, byś natychmiast ubrał się w co masz najlepszego i przybył do szkoły. Bez wszelkich dalszych wyjaśnień oddalił się rychło.

Abramko zrozumiał. Pobiegł do szkoły. Tam oczekiwał go już Wolf, który w te słowa przemówił:

— Abramko! — koncertant i dyrygent zarazem — jest chory, pan dyrektor chce odroczyć przedstawienie. Ty jednak jeszcze możesz uratować sprawę.

Abramko spojrzał przez okno. Dochód z przedstawienia przeznaczony był na zakupno odzieży i obuwia dla najbiedniejszych. Był już początek listopada. Niebo pokryło się ołowianemi chmurami, wiatr świszcze przeraźliwie, a pod jego tchnieniem woda w lód się ścina. A niektórzy z jego przyjaciół jeszcze obuwia nie mają. I znów litość podniosła pierś Abramka, który zapytał:

— Dobrze; gotów jestem zrobić wszystko, co w mej mocy, ale cóż ja potrafię?

— Będziesz dyrygował!

— Ja dy — ry — gooował??!

— Tak, będziesz. Ty potrafisz, ty jesteś mistrzem.

— Dobrze, powiedział Abramko, spuściwszy głowę.

— Idź więc natychmiast do gabinetu dyrektora i powiedz, że zastąpisz chorego solistę.

Abramko stanął. Nie śmiał. Proszącym wzrokiem spojrzał na Wolfa. Wolf zrozumiał.

— Wstydzisz się — gderał! Ach mazgaju — rzekł — głaszcząc go po włosach; idę z tobą, idę...

Dyrektor wysłuchawszy słów Wolfa i jego zapewnień o talencie Abramka, przystał i nie odwołał przedstawienia.

Abramko był szczęśliwy.

* * *

Sala była wypełniona publicznością po brzegi. Z niecierpliwością oczekiwano rozpoczęcia widowiska, z większą jeszcze niecierpliwością, mimo, że było piękne, jego zakończenia, bo wystąpić miał po niem wedle programu Bauer. Ale gdy nadeszła chwila upragniona, wystąpił na scenę Wolf i głosem, w którym można się było dopatrzeć odrobiny radości, — zawiadomił, że z powodu choroby Bauer nie wystąpi, a zastąpi go mały śpiewak — Abramko.

Szmer niezadowolenia rozszedł się po sali. Gdy się uciszyło, wystąpił chór, a na jego czele dziecko — dyrygent — Abramko. Ale nie był to ów nieśmiały chłopaczek. Z pałeczką w ręku urósł. Ukłonił się publiczności i z pewnością siebie dyrygował tak świetnie, że burza oklasków zerwała się zaraz po pierwszej pieśni.

Wystąpił wreszcie Abramko sam. Śpiewał z początku pieśni swoje. W sali panowała taka cisza, że słyszano oddechy. Abramko śpiewał

swoje pieśni, a Wolf, który je znał, akompanjował. Głos Abramka, przeczysty sopran, brzmiał jak dzwonek po sali. Wił się w jego gardzieli, trelował, podnosił i zniżał, wstrząsał i wzruszał.

Po pierwszej pieśni poznano artystę. Obdarzono go burzą oklasków. Abramka nie oklaskiwano dotąd nigdy. Nie czyniono tego w bożnicy. Kłaniał się więc głęboko, podczas gdy publiczność wywoływała go powtórnie.

Abramko rozglądał się po sali i nagle uśmiech zniknął z jego twarzy. Bo za drzwiami sali stał jeden człowiek, któremu nie danem było wejść do środka. Była to matka Abramka. Wyszła ona w ślad za nim, zaniepokojona nagłem wezwaniem syna do szkoły, i dowiedziała się, że będzie śpiewał. Nie miała pieniędzy, by zakupić bilet, ani też ubiór jej nie był odpowiedni, powiedziała więc Abramkowi, że będzie słuchała jego śpiewu pod drzwiami, wychodzącemi na podwórze. I choć deszcz padał gęsty i wiatr nieznośny, matka Abramka poprzez drzwi przysłuchiwała się śpiewowi swego dziecka i szczęśliwa jego powodzeniem nie czuła nic więcej.

A Abramko tymczasem śpiewał coraz lepiej. Śpiewał pieśni z modlitwy, których się uczył u chazena. Publiczność przyjęła je z zachwytem. Mistrz! mistrz! wołano ze wszystkich stron. Abramko był już zmęczony, ale publiczność rozentuzjazmowana żądała ciągle naddatków. Abramko powiódł oczyma po sali. Nagle wystąpił naprzód i wyciągnąwszy rękę w kierunku drzwi, głosem, w którym brzmiała straszna skarga, zawołał:

— Otwórzcie drzwi! Tam stoi matka moja... nie wpuścili jej bez biletu. Otwórzcie!

Abramko był w tej chwili panem na sali. Jego wola była rozkazem. Za chwilę matka Abramka znalazła się wewnątrz.

A wówczas nowe ognie zabłysły w jego oczach.

— Zaśpiewam teraz — rzekł — „Taniec nędzy“.

Pieśń ta przewyższyła swem pięknem wszystkie poprzednie: Abramko przeszedł sam siebie. Powstano z miejsc. W słowach pieśni odkryto jej twórcę. Poznano jego biedę i jego serce.

Gdy skończył, entuzjazm zebranych był nie do opisania. Rzucano na scenę — przygotowane dla Bauera — kwiaty. I rósł ten kwietny pagórek wokół mistrza i zagrodził mu drogę.

* * *

Gdy w kilka chwil później dyrektor uradowany świetnem powodzeniem przedstawienia w gorących słowach dziękował Abramkowi i pragnął go ponadto wynagrodzić, Abramko cofnął się i rzekł głębokim głosem:

— Nie pragnę nagrody. Dla mnie największą nagrodą jest myśl, że moi biedni, kochani przyjaciele będą mieli buciki przed mrozem...

Dyrektor nie odpowiedział. Zdaje się, że nie mógł mówić ze wzruszenia.

Pinches Schmutzer.

Dr. JAKÓB SCHALL.

Szkoły żydowskie w dawnej Polsce.

Szkoły żydowskie w dawnej Polsce rozpadają się na niższe i wyższe. W niższych mamy zwykle po 40 uczniów w jednej klasie, których naucza jeden nauczyciel i dwaj jego pomocnicy. Szkołami niższemi są przedewszystkiem chedery. W chederach uczą się młodsze dzieci czytania, pisania, modlitw i dobrego zachowania.

Nieco starsze dzieci tłumaczą pięcioksiąg i uczą się czytać i pisać po żydowsku. Gramatyka języka hebrajskiego, cztery działania rachunkowe i początki Talmudu z komentarzami Rasiego, kończą edukację w szkołach niższych.

Szkołami niższemi zajmują się zarówno stowarzyszenia „Talmud—Tora“, utrzymujące szkółki dla biednych uczniów, jak i bractwa szkolne, starające się o opiekę dla sierót i bezdomnych dzieci. Oprócz tego istnieją prywatne szkoły dla zamożnych.

Nawet w czasach najstraszniejszych dla Żydów, w wieku XVII. (w czasie wojen kozackich i szwedzkich), rozwija się żydowskie szkolnictwo niższe i to nawet w tych okolicach, które nawiedzają bandy kozackie i czambuły tatarskie.

Ważniejszą rolę od szkół niższych odgrywają t. zw. uczelnie talmudyczne. Do szkół tych uczęszczają, najczęściej po ukończeniu chederów, tylko zdolni chłopcy. Wielkie i sławne jesziwy powstają w Krakowie, Poznaniu, Lublinie i Lwowie. W nich kształci się nietylko zdolniejsza młodzież krajowa, ale i młodzież z Niemiec, Austrji i Włoch.

Na czele każdej jesziwy stoi rektor, zwyczajnie ceniony uczony. Uczniowie jesziwy t. zw. bachurim, udają się po każdem półroczu na wywczasy wakacyjne. Letnie wakacje spędzają bachurzy w Zasławiu lub Jarosławiu, zimowe we Lwowie lub Lublinie i tam popisują się swą wiedzą, prowadząc przed większą ilością słuchaczy dyskusje talmudyczne.

Z biegiem czasu dochodzą zarówno nauczyciele, jak i rodzice do przekonania, że sam Talmud nie wystarcza dla zaspokojenia wszyst-

kich potrzeb zarówno duchowych jak i życia codziennego i starają się wprowadzić pewne nauki świeckie. W tym celu wydaje synod żydowski za panowania króla Zygmunta Augusta odezwę do Żydów polskich, aby prócz Talmudu uprawiali także nauki świeckie. To też spotykamy za panowania Zygmunta Augusta pierwsze gimnazjum żydowskie w Lublinie na gruntach Żyda tamtejszego Dra Izaka Maja.

Żydzi, którzy pokończyli jesziwy starają się niejednokrotnie pogłębić swe studja na wszechnicach. Ponieważ na wszechnicy Jagiellońskiej Żydów nie przyjmowano, dlatego wyjeżdżają młodzieńcy żydowscy do obcych akademij. I tak donosi Erazm Ciołek królowi Aleksandrowi Jagielończykowi, że w Padwie kształci się w naukach świeckich sześciu Żydów polskich. Żydzi ci, jak n. p. Dr. Simche Menachem ze Lwowa, poświęcają się przedewszystkiem medycynie.

Z pisarzy żydowskich poświęca szkolnictwu żydowskiemu dużo uwagi Natan Hannower, autor kroniki „Jawein Macula" z czasów Bohdana Chmielnickiego. Ponadto zachowały się statuta bractwa „Talmud-Tora", które zajmowało się sprawami nauczania w dawnej Polsce.

Członkowie stowarzyszenia „Talmud-Tora" zobowiązani byli wizytować niższe szkoły i badać postępy uczniów. Statut tego stowarzyszenia nakazywał też, aby uczniów oddawano tylko jednemu nauczycielowi na przeciąg jednego półrocza. W czasie tego półrocza nie wolno było ani nauczycielowi odbierać uczniów, ani też zmieniać nauczyciela. Ponadto zbiera „Talmud-Tora" biednych uczniów i sieroty bez opieki i wyszukuje dla nich nauczyciela. Statut „Talmud-Tory" nakazuje też aby nauczono chłopca trzynastoletniego „kłaść tefilim" i aby zadecydowano o losie chłopca, który ukończył lat czternaście.

Stowarzyszenie „Talmud-Tora" czerpało swoje dochody z jednej szóstej części wszystkich ofiar składanych w bożnicach i domach prywatnych przy czytaniu tory, a ponadto z datków składanych w czasie ślubów przez rodzinę narzeczonego i narzeczonej. Wkońcu umieszczało to stowarzyszenie specjalne puszki w synagogach, w których składano datki na rzecz szkolnictwa.

Szkolnictwo wyższe, zwłaszcza w XVII w. opisuje nam wspomniany już Natan Hannower w swej „kronice" (1653). Wedle opisu Hannowera posiada każda wielka gmina żydowska w Polsce swą jesziwę, a rektorowie tych jesziw otrzymują wielką płacę i są bardzo poważani. Rektorzy tacy byli ludźmi bardzo pilnymi, gdyż jak pisze Hannower, „nie wychodzili oni przez cały rok ze swego domu, jak tylko z domu do szkoły, a ze szkoły do bożnicy i dniem i nocą ślęczeli nad torą".

Każda gmina utrzymuje młodzieńców i wyznacza im tygodniowo zapomogi, by mogli pobierać naukę u rektora jesziwy. Każdy z tych młodzieńców musi uczyć dwóch chłopaków gemary i komentarzy.

Każdy zamożniejszy obywatel gminy utrzymuje zwyczajnie jednego młodzieńca i dwóch chłopaków, którzy jadali przy jego stole.

Do jesziwy uczęszczali nietylko wszyscy młodzieńcy i chłopcy, których to było obowiązkiem, ale i także wszyscy ci mężowie, którzy mieli zrozumienie dla tory. Całą nauką i objaśnieniem tory kierował rektor. Rektor miał swego szkolnika, który codziennie chodził od jednej klasy do drugiej i doglądał, aby wszyscy uczniowie się uczyli i nie wałęsali po plicach. Co czwartku egzaminował przełożony kahału chłopców z nauki całotygodniowej. Jeżeli który z chłopców pomylił się w odpowiedzi, otrzymywał od szkolnika kilka kijów. W piątek egzaminował znowu rektor jesziwy wszystkich chłopców i nagradzał pilnych, ganiąc jednocześnie opornych i nieuczących się.

Rektor jesziwy cieszył się nietylko u swych uczniów, ale i w całej gminie wielkiem poważaniem. Nikt nie odważył się mu sprzeciwić, a słów jego słuchali zarówno biedni jak i bogaci.

Znakomitymi rektorami jesziw polskich, sławnych na cały świat żydowski, byli: Jakób Polak (zamianowany w r. 1503 przez króla Aleksandra Jagiellończyka rabinem krakowskim), Mojżesz Isserles zmarły w r. 1572, (rektor akademji talmudycznej krakowskiej i uczeń słynnego rektora wszechnicy lubelskiej Szaloma Szachny) i Salomon Lurje (1511—1575) rektor lubelski. Ci trzej mężowie dali podwaliny pod naukę Talmudu w Polsce.

Litość.

Lis się z wilkiem pobratał i wspólnemi siły
To polując, to leżąc, dzień spędzali miły.
Przyszła zima, brak jadła, coraz mniejsze dania;
Dno się wkrótce w kryjówce z zapasów wyłania.
Lis głodował i jęczał; litość wzięła wilka:
Zagryzł swego wspólnika i jadł go dni kilka.



Jakto jest w czerwcu?

„Czerwiec temu się zieleni, kto do pracy się nie leni“
„W czerwcu się pokaże, co nam Bóg da w darze“.

O tem wiedzą dobrze ci wszyscy, co chodzą do szkół i oczekują z niecierpliwością świadectwa swojego z końcem czerwca. Można zastosować i do uczęszczających do szkół, że dla dla tych czerwiec się zieleni, którzy się nie lenili do pracy.

Lecz przysłowie to stosuje się głównie do rolników. Dla nich zielenią się łany zbóż w czerwcu.

W maju kwitną łąki i ogrody, w czerwcu — pola. Warto popatrzeć jak zakwita zboże. Naprzód zakwita żyto. Pokazują się przedewszystkiem małe początki kłosków, które rozwijają się codziennie lepiej. Z każdego kłoska zwieszają się dwa żółte pylniki. Łagodny i spokojny wietrzyk rozrzuca pyłek z pylników po łanie. Obok pylników ma kłosek słupek z dwoma piórkowatemi znamionami. Na te piórkowate znamiona pada pyłek rozwiewany. Następuje zapylenie: zalążnia słupka przemienia się powoli w mączyste ziarno, które dojrzewa powoli pod plewkami. Ziarna miele się na mąkę po żniwach.

Więc na polach mamy żyto, pszenicę, owies, jęczmień, proso, tatarkę. Mielibyśmy zboża bez liku, gdyby nie niszczyciele, owady. One niszczą nasze pola i zmniejszają plony. Obok owadów rośnie mnóstwo chwastów na polach, które zabierają z ziemi cząstki pożywne przeznaczone dla zbóż. Więc rolnicy muszą zwalczać tych szkodników zbóż. Nawet ładne maki, bławatki i kąkole, rosnące wśród zboża nie sprawiają uciechy rolnikowi. Bo i one są chwastami.

Łany zboża dają schronienie wielu żywym istotom. Uwijają i łażą owady, ścielą sobie gniazda tam ptaki. Skowronek i przepiórka gospodarują najwięcej w zbożu, bo tam gdzieś w dołku, wygrzebanym na roli, mają swoje wyścielone gniazda.

Kuropatwy większe od przepiórek żyją także wśród zboża. Ciekawie się urządzają. Żyją gromadnie rodzinami. Oboje rodzice zajmują się starannie wychowaniem młodych. Ojciec pilnuje i broni stadka, a dobra matka prowadzi, żywi i uczy dzieci. Skoro podrosną nieco więcej, biorą same czynny udział w niektórych zajęciach. Ojciec ustawia je kolejno na straży i każe pilnować bezpieczeństwa, a cała gromada tymczasem żeruje. Ptaki te są bardzo przezorne i uważne.

Ludzie polują na nie dla smacznego mięsa.

Bogactwo owadów widzi się dopiero w czerwcu. Różnobarwne motyle i chrząszcze latają wokoło nas i pozwalają nam podziwiać mnogość i piękność tych stworzeń.

Szukamy świetlika czyli robaczka świętojańskiego, bo chielibyśmy poznać tę błyszczącą iskierkę, która unosi się nad łąkami w nocy. Jakoż siedzi tam skulony podłużny, brunatny chrząszczyk z głową ukrytą pod tarczą grzbietową. Siedzi też skromnie ukryty w trawie i czeka wieczoru, aby zapalić swą latarkę. Dzieci lubią tego chrząszczyka!

Zdala słychać jeszcze śpiew kosiarzy. Oni to ścinają trawę, suszą i mają siano. Powoli następuje noc.

Już zaszedł nad doliną,
Złocisty słońca krąg,
Ciche odgłosy płyną
Z zielonych pól i łąk.



„Jutrzenka dla najmłodszych"

Bajka o Perełce.

Była sobie raz dziewczynka imieniem Perełka. Nie miała ojca ani matki, jeno chowała się u babuni, która mieszkała w małym domku na skraju wsi. Zdarzyło się, że staruszka ciężko zachorowała i rzekła: „Już niema dla mnie ratunku, bo tylko woda z cudownego źródła może mnie uleczyć, a jakże mi jej dostać, skoro źródło znajduje się u stóp wielkiej góry, do której żaden człowiek dojść nie potrafi“. Perełka nic nie odrzekła, lecz wzięła flakonik babuni i wybrała się w drogę, aby znaleść cudowne źródło. Idzie już bardzo długo, a nikt jej drogi wskazać nie umie. Gdy zaś wieczór zapadł, zmęczona Perełka schroniła się do jaskini wykutej w skale, aby tam noc przepędzić. Położyła się cicho w kąciku, westchnęła do Boga, prosząc o opiekę i już przymknęła oczy do snu, gdy... w tem usłyszała jęki i westchnienia, które wydobywały się z wnętrza pieczary. „Ginę już, ginę, duszę się“ — wołał jakiś głos. A to był Wicher, co po polu wieje. Zabłąkał się on do

ciasnej pieczary i nie mógł się z niej wydostać. Perełka dmuchnęła z całej siły, tak, że wicher ocucił się, wybiegł z pieczary i hulał dalej, a wybawicielce swej przynosił do pieczary miłe zapachy kwiatów i ogrodów. Nazajutrz szła Perełka dalej do cudownego źródła, wesoło i odważnie. Żywiła się jagodami, piła wodę ze strumyka, a gdy noc zapadła, ułożyła się do snu pod rozłożystem drzewem. Wtem zabłysło światło i wyszedł z lasu zły Krasnoludek z wielkim nożem w ręku, którym zabijał podróżnych. I byłaby zginęła biedna Perełka, gdy nagle dobry Wicher dmuchnął, zwołał wszystkie suche listki z lasu, które przesłoniły ją tak, że jej Krasnoludek nie zobaczył.

Szła więc szczęśliwie dalej aż stanęła przed ogromną przepaścią, przez którą żaden człowiek przejśćby nie potrafił. Zrozpaczona Perełka już myślała wracać do domu, gdy nagle jej opiekun Wicher zaczął gwałtownie huczeć i dąć, tak, aż wyrwał wielką topolę z korzeniami i rzucił ją ponad przepaścią. Po tej kładce przeszła dziewczynka bezpiecznie.

Po długiem błądzeniu ujrzała Perełka nareszcie wspaniały zamek, wewnątrz którego znajdowało się cudowne źródło. Otwarła złocistą bramę, aby wejść do środka, gdy wtem straszliwy smok rzucił się, aby ją pożreć. Strach pomyśleć coby się stało, gdyby znowu nie przyszło w pomoc dobre serce Wichru.

On bowiem zakręcił ogromnym tumanem kurzu i piaskiem zasypał oczy smokowi.

Niezadługo dotarła Perełka do złocistych podwoi, które otwarły się, a zdaleka ukazała się skała z cudownem źródłem. Perełka przybiegła uszczęśliwiona i napełniła flakonik. Prosiła jeszcze Boga, ażeby wskazał jej najkrótszą drogę do babuni.

Jakoż zjawiła się dobra wróżka i wskazała jej prostą drogę. Perełka szła, a Wicher rezpędzał przed nią mgły i chmury, ażeby prędzej dotarła do domu.

Wkrótce ujrzała Perełka przed sobą wioskę rodzinną i domek babuni. Jak strzała pobiegła ku domowi.

Babunia powitała wnuczkę radośnie. Napiła się zaraz wody z cudownego źródła. Siły jej powróciły, wyzdrowiała i długo jeszcze cieszyła się swoją ukochaną wnuczką, która uratowała jej życie.

Zabawa Karolka w piłkę nożną.

Wypoczynek po nauce nie jest wcale rzeczą zdrożną,
Więc Karolek na podwórzu dziś się bawi piłką nożną.
Właśnie gra się rozpoczęła, chłopak odbiegł na trzy kroki.
Kopnął, patrzy: piłka leci hen daleko w świat szeroki.

Na ulicy o tej porze bywa zwykle ludzi tylu
I pan szofer szybko jedzie, siedząc w swym automobilu.
Miło pędzić samochodem, szofer rozsiadł się szeroko.
Gdy w tem: bęc! i piłka nożna nagle mu wleciała w oko.

Szofer aż zębami zgrzyta, woła: a niechże cię kolka...
Patrzcie ile zamieszania! A to wszystko przez Karolka.
U rodziców Józia właśnie wszyscy siedli do obiadu.
Papa nos wysiąknął chustką i do mamy gadu, gadu...

Wtem gwałtowne przerażenie, słychać wrzaski, krzyki, piski,
Piłka wpadła do pokoju i rozbiła im półmiski.
Papa srodze rozgniewany, poszedł do drzwi, wziął za klamkę,
Mówiąc: ja wam tu pokażę, jak się winno robić bramkę!

Różnie dzieje się na świecie, więc i tak się czasem zdarza,
Że na rogu przy ulicy można spotkać dorożkarza.
Szkapa stara przerażona krzyczy teraz w ludzi tłumie:
Ależ ludzie, dajcie spokój, bo ja w footbal grać nie umię!

„Pal cię djabli — rzekł dorożkarz,
Postać ogorzała — słonia,
Trącił piłkę tak potężnie,
że upadła aż na błonia.

Przygoda Józka.

Wyniki II-go konkursu literackiego.

Dokończenia opowiadania „Przygoda Józka“ z numeru 5-go nadesłali: Marja Tendlerówna, Jakób Bruh, Rubin Mörsel, Gizela Rittel, Hugo Feuertag, Misio Piepes, Ryfka Meiseles, Mojżesz Queller, Zosia Bergerówna, Michał Alasz, Lenzówna Sydonja, Leopold Hahn, Basia Zimmerman, Rózia Weretin, Adolf Finkler. Niepodpisany, Maniek Kaul, K. Weiss, Bunio Stark, Lea Spornówna, Tulo Kieselstein.

Podajemy najlepsze dokończenie i zapraszamy autora do odebrania nagrody w redakcji codziennie między 3—4 popołudniu.

PRZYGODA JÓZKA.

Józek poszedł do lasu zbierać grzyby. Nazbierał ich dużo i miał już wracać do domu, ale był tak zmęczony, że postanowił naprzód trochę odpocząć. Położył się więc wygodnie na miękkim mchu pod drzewami i wkrótce zasnął.

Spał smacznie długo. Gdy wreszcie otworzył oczy, zobaczył z przerażeniem, że tymczasem wieczór zapadł. Było już tak ciemno, że Józek nie mógł odszukać ścieżki. Bezradnie błądził, nie wiedząc, w którą ma iść stronę. Wkońcu zaczął głośno płakać i wołać, ale nikt nie nadchodził.

Nagle zobaczył wdali małe światełko...

. . . .

(Dokończenie).

Światełko dodało Józiowi otuchy. Przyspieszonym krokiem zbliżał się ku światłu i wnet znalazł się przed chatką. Było to mieszkanie pewnego drwala. Józio zdobył się na odwagę i zapukał. Z wnętrza odpowiedział mu słaby głos: „proszę wejść“. Gdy wszedł, zobaczył drwala leżącego na posłaniu z owiniętą nogą. Przy rąbaniu drzewa, powaliło się drzewo tak nieszczęśliwie, że zgniotło mu nogę. Drwal zdziwił się bardzo, widząc o tak późnej porze gościa, a że był bardzo poczciwym człowiekiem, udzielił Józkowi gościny i pocieszał go, że jutro rano będzie mógł pójść do domu.

Uspokojony Józek zasnął. W nocy budziły go jęki chorego, któremu ból w nodze dokuczał srodze. Józio zrywał się z posłania i obwijał nogę choremu zimnemi okładami. To przyniosło pewną ulgę drwalowi.

Rano gdy Józio się obudził, drwal opisał drogę i kazał mu wrócić do domu. Józio serdecznie podziękował za gościnę i obiecał wrócić ze swoim bratem lekarzem.

Wielka była radość rodziców Józka, gdy zobaczyli go z powrotem. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Józio tak jak obiecał, udał się z bratem swoim Jerzym do drwala. Jerzy nogę opatrzył i jeszcze kilka razy odwiedził chorego. Po kilku dniach okazało się leczenie skutecznie, drwal mógł już o własnych siłach chodzić. Gorąco podziękował Józiowi i bratu za dobre serca. *Leopold Hahn.*

Czytelniczki i Czytelnicy „Jutrzenki" którzy nadesłali fotografje swoje.



Felusia Glassgall
ubrana w krenolinę i w białej peruce.



Ryszard Bardach



Wiktor Ardel
Lesienice.



Poldek Degenstück

5. KUPON DO ZAGADEK KONKURSOWYCH „NASZEJ JUTRZENKI" 1930.

Imię i nazwisko: ....

Miejsce zamieszkania: ....

Ulica i numer domu: ....

Trafne rozwiązanie zagadek nadesłali:

Fela Beckmanówna, Fischel Schon, Szymon Schudrich, Bronisław Perlmutter, Rachela Spielman, Rachela Schöhautówna, Z. Goldfinger, Adela Halpernówna, Szymon Schächter, Izak i Genia Trinczer, Jakób Rotenberg, Oskar Gruder, Rachela Fischer, Gizela i Szymon Rittel, Zygfryd Weiss, Hugo Feuertag, Wilder Marjan Lew, Lwów Marceli, Donn Stachel Herman, Berger Chune, Grütz Salomon, Oskar Distenfeld, Jula i Dora Kronthal, Wolf Fischler, Franciszek Weingarten, Mundzio Ringler, Zosia Bergerówna, Schieber Emanuel, Teichman Jakób, Jakób i Berta Stromer, Jecheskel Zwerdling, Maksymiljan Roth, Katz Anna, Maryla Steinbruchówna, Irena Klaperówna, Anna Neuberger, Józef Fränkel, Gizia Bilbel, Lenzówna Sydonja Rózia, Heschelesówna Rózia, Gizia Roslerówna, Rózia Weretin, Jakób Weisnacht, Rachela Berger, Ludwik Birnbaum, Henoch Freiwald, Oskar Donner, Bernard Rubin, Gizela Rohatyn, Juda Grünbaum, Jerzy Singer, Adolf Grünstein, Leon Haber, Wolf Fischer, Rózia Wurzel, Leopold Silber, Dawid Kleinberg, Henryk Leber, Szymek Zugman, Toncia Gelber, Zygmunt Weber, Basia Zimmerman, Rosenberg Rudolf, Schwarz Berta.

Listy oraz zagadki nadesłali:

Marja Tendlerówna, Lea Mandel, Manek i Lunek Wilder, Wolf Birnberg, Ella, Schönfeld, Gucio Falk, Leoni Gruber, Zuzia Fass, Rela Sohn, R. Rubinówna.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5-go.

ZAGADKA RACHUNKOWA: Gdyby był trzymał błazna na tych warunkach, to już 15-go dnia musiałby dać 163 zł. 84 groszy, a 30-go dnia 2,786.881 zł. 52 gr.

SZARADA: tulipan.

ZAGADKI NOWE:

GŁOSÓWKI.

(nadesłał J. Zwirn).

I.

Cztery litery — bywa z wieczora,
Bez pierwszej razem — to długa pora.

II.

B — szukaj u śpiewaka,
P — znajdziesz u wieśniaka,
L — często wielkie bywa,
Cz — szybko nam upływa.

Wyrazy czytane wstecz.

(nadesłała Gizia Herbst).

Z następujących wyrazów czytając je wstecz, utwórz nowe:
kos, koks, rum, sum, grat, kot, jar, nart, karb, morg, kęs, port, krak, dał, daj, rad, pac, nas.

Dowcip.

Jak można udowodnić, że gdy odejmiemy 88 od dwudziestu, pozostanie 22?

Od Administracji.

Administracja uprasza wszystkich prenumeratorów, którzy nie dostali czasopisma za maj i czerwiec o natychmiastowe zawiadomienie. Od stycznia bowiem obowiązuje nowy sposób doręczania czasopisma przez Pocztę za kartami prenumeraty. W Urzędzie pocztowym pisze się także adresy. Prosimy dlatego o rychłe zawiadomienie w razie niedoręczenia pisma, ażeby można błędy w doręczaniu naprawić. Najlepiej napisać kartkę korespondencyjną z dokładnym adresem do Administracji, ul. Janowska 26, Lwów.

„NASZA JUTRZENKA“ jedyne pismo polskie (ilustrowane) dla dzieci i młodzieży żydowskiej.
Numer pojedynczy 50 groszy. — Konto czekowe P. K. O. 149.547
Numer podwójny 1 zł. Telefon 32-31
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Janowska 26.
Do nabycia w biurach dzienników, księgarniach, trafikach i kioskach.

Prenumerata „Naszej Jutrzenki“ wynosi:
półrocznie z przesyłką 2 zł. 70 gr. — — — — — — — rocznie 5 zł.

Cena ogłoszeń jednorazowo:
cała strona 50 zł., 1/2 strony 25 zł., 1/4 strony 12 zł. 50 gr., 1/8 strony 6 zł. 25 gr.
Opust za 3-krotne ogłoszenie 10%, — za 6-krotne 20%, — za 12-krotne 30%

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: **Dawid Berlas.**
Z drukarni A. Gojawiczyńskiego we Lwowie, ul. Kopernika 20. — Telefon 28-18